Rozmaitości

Nr 6.

Dnia 6. Lutego 1836 Roku.

PROFESSOR.

Powieść F. A. Olizarowskiego.

(Ciąg dalszy.)

PROFESSOR.

Cóż tam na obiad?

ŻONA.

Krupniczek na zupę.

PROFESSOR.

Krupnik żołniérski... krupa goni krupę.

ŻONA.

Przedni krupniczek, zasypany gęsto;
Perłowe krupki...

PROFESSOR.

Coś ten krupnik często,
Ten nieprzyjaciel mego powonienia,
Staje na czele naszego jedzenia.
Bierz go na łyżkę... jęcz, choruj na kolki,
Ale połykaj jakieś bobki, pieprze,
Kopry, kartofle, pietruszki, fasolki...
Choduj asani tém czeladź i wieprze.
I cóż drugiego? mięso, żyły, kości
Z wizykatoryją. Gdyby nasz żołądek
Z naszémi głowy spólny miał rozsądek,
Toby zaprosił strusia sobie w gości,
Tenby za niego potrafił to strawić....
I cóż tam więcej?

ŻONA.

Z kurczęcia potrawka.

PROFESSOR.

Zwiérząt łakocie! Widzę, chcesz mię bawić
Kostkami z trupów. Szczególna zabawka!
Trupy kurczęce, czy trupy człowiecze,
Zawszeto trupy. Czy mię za hyjenę
Macie?... wstydźcie się! A co się tam piecze?
Trup także! Żonę z kucharzem wyżenę
Na cztéry wiatry!... Sproś sobie sąsiady
I żryjcie trupy. Winszuję biesiady,
Lecz nie zazdroszczę.

Tu przerwał swą mowę...
Coś w ucho wpadło, trząsł, nachylał głowę,
Podrzucał w górę:

»Co to?«

ŻONA.

Dzwonią w szkole
Za czyjąś duszę...

PROFESSOR.

Chcielibyście może,
Żebym i tego trupa pożarł?... Boże!
Ty wielkiém okiem widzisz na padole
Drobnostki! Czemuż zdajesz się nie widzieć
Jak twoje dzieci karmią się trupami?
Czyż można kochać, i możnaż nawidzieć
Tych, co mnie może z swémi potrawami
Złączą i pożrą? —

ŻONA.

Boże bądź nad nami!

PROFESSOR.

Boże bądź nad nią! bowiem jéj potrzeba
W pożarciu trupów pomocy od nieba. —

Te były skutki fantazyi, która
Przez rum dobyta z ciała professora,
W dziwacznych kształtach była przedstawiana
Przed żony wzrokiem, płaczącym i miękkim,
Przed prostym słuchem i okiem furmana.
Tak dym, zbudzony z otyłych drzew łona,
Wstaje w powietrze obeliskiem cienkim,
Tyje, wyciąga do góry ramiona
Jak drzew gałęzie, kurczy się i zżyma,
Rzuca się na płask, i po morzu miękkiém
Powietrza, płynie po przed chmur oczyma.

II.

MOWA PROFESSORA.

Drzwi professora na klucz zaczynione
Bronią przystępu ludziom. Zasłonione
Okna, przez szpary noc ciemna wykrada
Światło od świecy. Wzrok wylewan w szpary
I patrzy wewnątrz: Jak załotnik stary
Gdy o wzajemność swéj kochanki bada,
Gdy mu dziewczyna uporem dokuczy,
Spuści nos na dół, coś pod nosem mruczy,
Jako skowronek ranny skrzydełkami,
Tak pan professor wyrabia ustami,
Mruczy i krzaka, i myśli, i dyszy,
Rozjaśnia świecę, słucha, snać coś słyszy

Porywa pióro, zasiada przy stole,
I piórem skrobie po zmarszczoném czole,
Nareszcie pisze. Słychać ślady pióra
Szelest papiéru. Jak czerwona chmura
Nad śniegiem ziemi, tak twarz professora
Wisi nad śniegiem papiéru. Nareszcie
Papiér poczerniał, po długim szeleście
Ucichł, i pióro za uchem usiadło,
Wstał pan professor, niósł pismo do świécy,
Chciał czytać, pióro z za ucha wypadło,
Dążąc ku stopom. Przebiegło przez pleey
I jak ukropem professora zlało,
Professor krzyknął: »A słowo się stało!«
Już miał na ustach: »Wszelki duch!...« tymczasem
Obaczył pióro, zaśmiał się, i splunął
I pióro nogą od siebie odsunął,
I zaczął czytać, zaczął czytać basem,
Zaśmiał się, mówiąc: »Głupi człowiek czasem,
Czemużto gardzić swym zwyczajnym głosem?«
Zaczął tenorem. »Jak mucha pod nosem
Będę słuchaczom brzęczał,« a więc ryknął
Jak wół, i pismo na głąb' stołu rzucił,
Odszedł, i znowu do stołu powrócił,
Pochwycił pismo, i z oczu mi zniknął.
Słyszałem tylko mruczenie, tupanie,
Niekiedy ręka z zakąta wystanie
I równolegle od podłogi wisi.....

Widzę go znowu, z kąta się wytoczył,
Twarz jakby w ogniu i we krwie umoczył,
I jeżli chcesz mieć kopiją upiora,
Pomaż mu usta krwią, wydrzyj z rąk papiér
I w pierś mu wetkniéj sztylet albo rapiér.
Stał śród komnaty, ręka podniesiona,
Twarzy połowa ku drzwiom obrócona,
I słuch strunami szedł do drzwi od ucha,
Z których dłoń jakaś odległa i głucha,
Budziła tony jakiegoś stąpania;
Wstrzął się professor, i kwiat usz, bawełna,
Spadł na podłogę, i przepaść słuchania
Wraz się otwarła. Jego głowa pełna
Słuchów, domysłów. Oddech w sobie trzyma,
Zaczém twarz swoje jako miech nadyma,
Kiedy niekiedy nosem wyjdzie tchnienie,
W nozdrzach na straży stawi się milczenie,
Rychle z ust ciężki kłąb oddechu buchnie,
I znowu dwuglob: twarz i brzuch mu głuchnie,
I słychać jako po zewnętrznéj ścianie
Czepia swe echa poważne stąpanie.

Twarz professora czerwona, sinieje,
I różna białość zewsząd się wymyka,
I chcesz téj twarzy mieć zewnętrzne dzieje,
Przypatrz się głowie starego indyka;
Piérwszy raz bladość widziałem w téj twarzy,
Nawet ów uśmiéch utonął szyderczy,
I blada trwoga sama w licach stérczy,
Oko się tylko po dawnemu żarzy.

Na palcach podszedł ku drzwiom, klucz poruszył.
Łoskotem klucza swą trwogę zagłuszył:
»Tak! na dwa spusty zamknięte;« wyjmował
Klucz, i otworzyć drzwi ręką próbował,
I tłukł w drzwi pięścią, i drzwi się otwarły,
I staje w progu, szczęściem nie umarły,
Ale straszniéjsza od umarłych: żona,
Czułe straszydło; szata rozrzucona
Gdzie niegdzie patrzéć wciąż pozwala oku
W śniade źwierciadło ciała. O! widoku,
Mógłbyś ty nie być w naturze. Kobieto!
Czemuż cię bielszém ciałem nie okryto;
Czemu twe czoło w marszczki oprawiono,
Czemu ust twoich na cal nie zwężono!
Nie przysypano czém nosa wklęsłości,
Nie wyrównano lic twych wypukłości,
Czemu ze źrenic blask ci powypadał.
Gdzie twoje rzęsy? Czemu czas poszczypał
Ospy paznogciem twarz twą, i posypał
Nasienie piegów — i w rysy powkładał
Jakieś cierpienia, które dopełniają
Brzydoty twojéj?! Żal mi twéj postaci,
Jak żal topoli, któréj wiérzch potraci
Liście zielone, a tylko zostają
Strzępy zżółkniałe, i suche konary,
Z których zabawkę ma wiatr i czas stary.
Oh! żal mi ciebie, widząc twoję nogę,
Któraby mogła w powietrzu zakréślać
Kręgi czarowne, i loty wymyślać,
I w kraj rozkoszy pokazywać drogę!
Oh! żal mi ciebie, lecz próżne me żale!

ONA.

Nie spisz... już północ, i ja spać nie mogę.

ON.

Łasisz po nocy jak kolbak.

ONA.

Michale!
Nie miéj mi za złe; wszak twą żoną jestem?

»Albożja przeczę!« z szczególniéjszym gestem
Mówił professor, a professorowa
Chciała mu rzucić swój uścisk za słowa,
Ale professer tak odskoczył nagle
Od swéj małżonki, jak statek od fali,
Kiedy wiatr całą gębą dmuchnie w żagle,
Patrząc, nie patrząc na siebie, dawali
Piętnastu chwilom swobodnie przebieżyć,
I zda się cisza mogłaby przeleżéć
Długą godzinę między małżonkami,
Gdyby nie myszka zwabiona ciszami,
Ta wyszła do nich, aby przerwać ciszę.

»Mysz! mysz!« krzyknęła żona, a mąż: »Słyszę!«
Odrzekł po chwili. »Mówiono, błagano,
Żeby mi kota na noc tu wpuszczano;
Asani widzę przyszłaś zamiast kota,
Płosz sobie myszy, gdy taka ochota,
A mnie daj spokój.«

ONA.

Przestańże dziwaczyć,
Panie Michale! i chciéj wytłumaczyć,
Pojąć uczucia żony, która kocha
Nawet dziwactwa wasze.

ON.

Cóż tam więcéj,
Mówno asani czuléj jeszcze trocha.

ONA.

Panie Michale...

ON.

I cóż tam? mów prędzéj.

ONA.

Ja was tak kocham.....

ON.

Jak kura perłowa,
Któréj nie dosyć, że jest jako głowa
Pomiędzy drobiem, ale i indyka
Chciałaby w kurę zamienić, osłabić,
Oskubać głowę z korali, i zabić —
Takieto chęci wasza pierś zamyka
Mądre małżonki. Kobiéty! dążenie
Wasze przeklęte. Wam to przeznaczenie
Kazało czyhać na mężczyzny serce,
Wam się należy to słowo wydzierce
Wszystkiego dobra! Wasze krótkie wdzięki
Ciągną za sobą nasze długie jęki,
Nudne nadzieje, tęsknoty bolesne,
Zazdrość stużadłą, ssącą serce zawiść,
Wielką chorobę, do życia nienawiść,
Rozpacze, zbrodnie, i śmierci przedwczesne!

ONA.

Michale! wszakżeś tego nie doznawał.

ON.

Z świętéj przeszłości raduj się Gertrudo!

ONA.

Czyż zasłużyłam, żebyś naigrawał?...

ON.

Dajże mi spokój! precz ztąd! precz marudo!
Dosyć tych pieszczot.

ONA.

Ach, ja nieszczęśliwa! —
Przyszła z uśmiéchem; odeszła ze smutkiem.

Professor nie wiém nad czém rozmyśliwa,
Jego rozmysły miałyżby być skutkiem
Upadku wiary w rozkoszne pożycie?
Jedna godzina mąż na dalsze życie
Wyciągać rękę?... Małżeńskie warunki!
Pozorne szczęścia, z was wstają frasunki,
Dolegliwości, troski, i niesnaski!

Tak cząstki wody niesione do góry
Promienną dłonią świtu, snują chmury,
Oka bożego zasłaniają blaski
I atmosferę ubrawszy w swe maski,
Kochankę nieba, zieloną naturę
Smucą i trwożą.

Szczęśliwy mieć może
W białém chwil pasmie kilka czarnych nitek,
Za cały smutek rozkoszy ubytek...
O! ty szczęśliwym jesteś professorze!

Z porannem licem wyszło w niebo zorze,
Uśmiéchnęło się, zbladło, i skonało,
I wraz pół-niebo wschodnie pobielało;
Wiater poranny ostrzy swoje loty,
Bowiem ma dzisiaj wiele do roboty,
Całe powietrze ma spruć, pozamiatać
Niebo i ziemię. Mróz igły rozsypał,
Wiatr je wziął do rąk, kłuł ludzi, i szczypał;
Wody, ażeby do góry nie wzlatać,
Uszyły sobie grubą z lodu szatę
Temi igłami. Każdy dóm bogate
Miał zewnątrz okna w srébrne różnowzóry,
Mróz wyhaftował, mówiąc z kobiétami,
Na szklannéj kanwie srebrnémi sznelkami
Rożnych drzew, roślin zimowe ubiory.

Budzą się wróble, trznadle i sikory,
Te do poddasza swoje skrzydła tulą,
Świérgocząc, myśląc, że zimę rozczulą
Swoim świérgotem. Trznadle gromadami
Szukają ziarna. Samotna sikorka
Jak myśl się błąka pomiędzy drzewami,
I po gałązkach, ta ptasia wiéwiorka,
Skacze i kwiaty śniegu z nich obrywa,
A obrywając krótkie piosnki śpiéwa —
Czasem do okna zaglądnie pustego,
Zda się nie lękać oka człowieczego,
Jednak od okna pod drzewo ucieka,
Woli cień drzewa, niźli wzrok człowieka.

Budzi się miasto, professor znużony,
Nie tyle pismem, ile łzami żony,
Powierzył snowi myśli niespokojne,
I sen dwa skrzydła w różne cisze strojne,
Nad professorskiém obliczem roztoczył,
I sam się w jego wielkie czoło wtłoczył,
I był tam póty, aże się połączył
Ranek z południem, aże kapłan kończył
Modły za duszę zmarłego sąsiada.—

(Dokończenie nastąpi.)

MIESZKANIA AUTORÓW PARYZKICH.

Delavigne. Janin. Balzac. Chateaubriand. Wiktor Hugo. Leclerq. Love Weimars. Sue. Karr. Berthaud. Monnier. Paul de Kock. Davin. Dumas. Lamartine. Soulié. Jouys. Sand. Alfred de Musset.

Szczegóły udzielone światu czytającemu o życiu domowém autorów, zawsze są dla niego zajmującémi; jestto rzecz bardzo przyjemna, odkrywać stosunki między ich trybem życia, a ich sposobem myślenia. Jakoż mało jest takich czcicielów sztuk i umiejętności,

którzyby nie byli dokładnie znani w Paryżu, tak ze swego smaku, ze swoich związków, ze swoich przywar, długów i tylu innych drobnostek. Anegdoty o literatach z wieku Ludwika XIV. dziś jeszcze mają dla nas tyle pociągu; jakże więcéj zajmować nas to powinno, co się bliżéj nas dzieje. Z ciekawością wspinamy się na palcach w górę, abyśmy przez mur zaglądnąć mogli w życie domowe tych panów. Do téj przyjemności łączy się zarówno i rozkosz pochodząca z zasmakowania zakazanego owocu, zwłaszcza, że życie domowe nie może być pozwane przed sąd publiczny; ale jeżeli nie zdołamy zupełnie podnieść zasłony; niechże przynajmniéj wolno będzie, tu i ówdzie ją uchylić, ażeby choć jednym rzutem oka we wnętrze ich mieszkań zaglądnąć. I oto mała próbka. Nie masz nic, coby więcéj malowało charakter artysty, jak jego mieszkanie; każdy urządza sobie takowe w miarę smaku; albowiem byłoby trudno myślić i pisać w takim pokoju, któregoby całe urządzenie nie zgadzało się z duchem swego mieszkańca. Można tu trafnie znane zdanie Bufona: »Stylem jest człowiek,« sparodjować, mówiąc: »Mieszkanie jest człowiek.«

Kazimiérz Delavigne w gmachu wielkim, gdzie połączone jest konserwatoryjum z *Menus plaisirs*, zamieszkuje apartament na pierwszém piętrze. Wchodzi się tam spaniałémi i wielkiémi wschodami z czasów Ludwika XIV., na górze przyjmują cię starzy domownicy, co zawsze jest dowodem dobroci ich panów. Przechodząc długie jadalne i bilardowe pokoje, najczęściéj spotkać można podeszłą matkę pana Delavigne. Rysy jéj są łagodne, wzbudzające uszanowanie. Obok niéj wnuk mały, ładny chłopczyk z prześlicznémi blond włosyma, który skoro postrzeże jaką obcą osobę, natychmiast chowa się między nogi swego ojca. Dla tego syna zapomniéć gotów Delavigne o wszystkiém; widziałem go jak raz najważniejszą przerwał rozmowę, ażeby ulubionemu pieszczotkowi zabawkę narządzić. Wszystko nadzwyczaj proste i patryjarchalne znajdziesz u wieszcza *Messenienek*; tylko wielki portret Ludwika Filipa ozdabia ścianę bawialnego pokoju; albowiem Delavigne z tą samą przyjaźnią jest dla króla, z jaką niegdyś był dla księcia Orleanu. Germain Delavigne często odwiedza swego brata, z którym zwykł jadać. Ilekroć się widzą, ściskają sobie z uśmiéchem ręce; Garmain prawie zawsze jest wesoły, uprzedzający i mowny, gdy odchodzi widać po nim, jak mu dobrze było u brata, który go odprowadzając żegna jeszcze spojrzeniem. Opuszczając to mieszkanie przejęty jesteś wzruszeniem, i upojony urokiem najświętszéj, najczystszéj familijnéj poezyi.

Ażeby się dostać do Juliusza Janin, potrzeba przechodzić przez dziedziniec hotelu na ulicy *Tournon*, gdzie służalec, zrzuciwszy na chwilę swoję złotem bramowaną liberyję, zakasawszy rękawy od koszuli, zatrudnia się myciem i przyrządzaniem przepysznego pojazdu. Z jednego do drugiego coraz świetniejszego przechodzisz pokoju, pokąd nie wejdziesz do gabinetu, gdzie Janin, leżąc w łóżku, zajmuje się pracą, otoczony gronem młodych ludzi, którzy w około niego śmieją się i pustują. Wesołość ich i żarty nie mieszają bynajmniéj jego pracy, czasami tylko ciska dowcip swój między ich rozmowy. Pewna dama (ta sama któréj małą glansowaną rękawiczkę rzucił panu Nisard, w chwili, gdy ten wszczął ową sławną sprzeczkę o ciężkiéj i lekkiéj literaturze) miewa czasami udział w tych zabawach, czyli raczéj odrywa go bez ceremonii od tych natrętnych odwiedzin, a to wtedy, gdy jéj długo na siebie ze śniadaniem czekać każe. Częstokroć także jeżeli napływ ciekawych i jego przyjaciół bywa za wielki, chroni się sławny nasz krytyk skrytémi drzwiczkami, do skromnego gabineciku, do którego wchód zupełnie jest utajony. Tutaj bez przeszkody może się oddawać ważniejszym pracom, czegoby mu nigdy w jego niedozwolono pokoju. Janin, kiedy pisze, zwykł nosić szarą bluzę i bawełnianą czapeczkę.

Od Janina zwrócimy się ku ulicy *Cassini* pod N. 1. Tutaj w domu, mającém dwójznaczny pozór, który coś bardzo miejską pensyję w *Père Goriot* przypomina, mieszka sam twórca tegoż romansu, pan Balzac. Przeszedłszy wązkie, niewygodne wschody, ujrzysz się pośród różnokształtnych sprzętów, które z wielkiem uprzedzeniem do dobrego skutku zdają się być nagromadzone i uporządkowane. Mniemałbyś, że się znajdujesz w mieszkaniu szulera, który nagle spanoszał, lub u spekulanta giełdowego, który z swojémi dostatkami nie mógł

się jeszcze oswoić. Na dowód dajemy tu dokładny opis jego gabinetu, który Balzac sam w swojéj *Fille aux yeux d'or* skreślił: »Połowa budoara, w którym był Henryk, zakrzywiała się w łuk powabny, co tworzyło sprzeczność z drugą częścią komnaty, mającéj kształt zupełnego kwadratu, a w środku któréj stał komin z białego marmuru, ślniący złotem. Drzwi boczne prowadziły do tego pokoju, osłonięte bogatą makatą; naprzeciw nich było okno. To półkręże zajmował dywan prawdziwy turecki, t. j: materac leżący na ziemi, széroki jak łóżko. Dywan ten miał 50 kroków obwodu, obciągnięty białym kaszemirem, wyszywany czarnym i pąsowym jedwabiem. Wezgłowie tego niezmiernego łoża wznosiło się nad mnóstwem poduszek, które tak do ozdoby jak do wygody służyły. Sciany były obciągnięte czerwoną materyją, a ta powleczona znowu drobno faldowanym muszlinem, który to wydatne, to wklęsłe tworzył kolumny, powiązane u góry posąwémi wstęgami z czarnémi arabeski. Kolor jasno-pąsowy przyćmiony w części przegubami muszlinu, zamieniał się w barwę rożowę, i dla tegoto bogate draperyje u okien były z muszlinu, podbite kitajką różową, bramowane jasno-pąsowémi i czarnémi frendzlami. Sześć świczników amaliowanych z dwunastoma świécami jarzącémi, w równych odstępach rozstawione były u ściany dla oświecenia dywanu.*) Kobierzec utkany był na sposób wschodnich szalów, i wyobrażał przedmioty z poezyj perskich. Na meblach odbijał biały kaszemir, z czarnémi i czerwonémi ozdobami. Zégar, świeczniki i t. d. były z białego marmuru i złota. Jedyny stół, jaki się tu znajdował, okryty był prawdziwym szalem tureckim. Na podstawach do kwiatow, widziałeś róże wszystkich rodzajów, i wszystko tam mówiło o wielkiéj troskliwości i zamiłowaniu, które ten gmach przyozdobiły. Nigdy bogactwo nie było skromniejsze jak tutaj, gdzie się w najczulszą elegancyję zamieniło, aby tylko rozkosz i przyjemność sprawić. Tutaj najzimniejszy człowiek zacząłby czuć goręcéj. Falowy ruch ściennego obicia, które, jeżeli się w nie wpatrzysz, to czerwoną, to białą mieni się barwą, tworzyły doskonałą zgodność z działaniem światła, przenikającego przezroczyste kolumny, co sprawiało złudzenie, podobne do przepływających obłoków.« Pan Balzac nosi zwykle w domu szlafrok z białéj flaneli ze złotym pasem. Z tyłu wisi kaptur, który podług upodobania na głowę naciąga. Ubior ten nadaje autorowi *Eugenii Graudet* pozór wypasionego mnicha.

Ażeby mieć obraz przeciwny temu, wstąpmy do gabinetu Chateaubrianda. Tu cię nie przyjmą ugalonowani lokaje, ale cię otoczy zbytek surowego wyrzeczenia się marności, i cicha melancholijna, majestatyczna spaniałość. Pokój, w którym były minister mieszka, wyłożony jest drzewem dębowém; on, któremu teraźniejsza literatura francuzka cały swój kierunek winna, zmordowany, stroskany, wycieńczony, nigdy nie zmienia prawie swego nie wymuszonego i wygodnego siedzenia, i tylko czasami wzrok przenikający na odwiedzającą go osobę rzuca, jak ów spokojny Wezuwiusz, który kiedy niekiedy buchnie płomieniem, jakby mówił, że w nim ogień wewnętrzny nie wygasł. Tutaj do rozmów, toczonych cichym głosem, przemieszywa się szum wzniosłych drzew, stojących przed pałacem, turkot powozów na ulicy wiodącéj do *Bariére de l'enfer*, i świégotanie drobnych ptaków, budujących gniazda swoje pod strzechą tego męża, który doświadczył okrutnych kolei wygnania, nieszczęścia i sławy.

Autor *Marion de Lorme* słusznie tam mieszkać powinien, gdzie ta sławna kortezanka mieszkała; twórca romansu *Nótre Dame* powinien otoczyć się przedmiotami z wieków średnich, i mąż, którego uczczono nie wzgardzonym przez niego tytułem: »Króla młodéj literatury,« powinien być w gronie hołdujących mu poddanych. W rzeczy saméj, niech kto na *Place royale* zapyta o mieszkanie Wiktora Hugo, pokażą mu ciemne sklepienie w kącie. Tam nas prowadzą wielkie drzwi wchodowe na *palier* (wschody), którym na piérwsze, a z tego na drugie dostajemy się piętro, gdzie ujrzymy obszérną komnatę, zastawioną meblami, które okazują niezgrabną mieszaninę wieków średnich i czasów dzisiéjszych. Z drzewa wyrzezana mównica z podniebiem adamaszkowém; malowane szyby; kanapa z czasów Ludwika XV. Poeta często pokazuje się w zielonym w wielkie kwiaty szlafroku, a niekiedy w wełnianym kaftaniku,

*) Strop, z którego ciemno-amaliowana lampa wisiała, był świetno-biały zwyzłacanemi gzymsami.

który wygląda jak koszula pancerna z 14go wieku. Na ścianach gabinetu znajdującego się w najodleglejszéj części domu, zobaczysz tam rysunki Ludwika Boulanger, Celestyna Nantaiel i innych artystów, którzy dla autora: *Ostatniego dnia potępionego* tyle podziwu, ile przyjaźni czują. U Wiktora Hugo ciągle zastaniesz przyjaciół jego i zapalonych wielbicieli jak: Garnier de Cassagnac, Ludwika de Maynard, Teofila Gauthier i t. d. Piérwsi dwaj połykają każde słówko poety, a wyroki jego tworzą zasadę ich krytyki w *Journal des Debats* i w *Revue de Paris*. Częstokroć pani Hugo przychodzi tam z swémi pięknémi dziećmi; usiada obok swego sławnego małżonka, i ożywia tworzącą się około niego grupę.

Dotąd pokazywałem moim czytelnikom powierzchowny rys mieszkań w zgodności z charakterem ich mieszkańców, a teraz przystąpimy do anomaliów (wyjątków). Cóżbyśmy o takim pomyślili autorze, którýby miał gabinet umeblowany z starannością, posuniętą aż do kokieteryi, na jaką tylko w budoarach pięknych kobiét natrafić można? Przypatrzmy się temu jegomości w zielonym surducie, z białym kołniérzykiem, tak czysto, tak chędogo z wywiędłą twarzą, tak smutną i melancholijną, żeby wnosić można, iż jest chorym. Jednakowoż talent tego człowieka wre i tryska czasami duchem Moliera i posiada dar uważania. Jestto Teodor Leclerq, pisarz dramatycznych przysłowiów.

Ze spokojnéj ulicy, na któréj on mieszka, przejdziemy do zgiełkliwéj *Rue de Provence*. Tu mieszka Löve Weimars, w kosztownym i przyjemnym gmachu, gdzie nic nie przypomina ani krytyka, ani uczonego, gdzie ani Hoffman, ani opera na myśl nie przychodzi.

Z tąd puszczamy się na drugie piętro pewnego domu na *rue Caumartin*, gdzie *groom* wprowadza nas do pokoju, w którym taka ciemność panuje, iż oczy potrzebują kilka chwil, aby przedmioty rozróżniać mogły. Stora ze szyb gotyckich nie wpuszcza tu światła. Na ścianach są małe półki z dębowego drzewa, na których stoją czaszki w odléwach gipsowych, służące do badań frenologicznych. Obok tych jest tam nie wielka liczba książek. Któryżto autor mieszka? Jakiż rodzaj dumania i pracy zgadza się z tą ciszą, z tą nocą? Okręt sporządzony na małą skalę, naprowadza nas na domysł. W gabinecie tym pomyślane i rzucone na papiér zostały *Plik i Plok*, *Atar Gull* i rozpustna *orgia* w romansie *Salamandra*. Jesteśmy u Eugeniusza Sue.

Często przechodziliśmy już przez *rue Vivienne*, przez ten wązki z sześcio i siedmio-piątrowych kamienic otworzony przesmyk, i nie pomyśliliśmy o tém, że na najwyższym szczycie tych domów znajduje się balkon, z którego niezmierny otwiéra się widokrąg. Zkąd widzieć można Montmatre z drzewami i wiatrakami, z domami i przechadzkami. W tyle tego balkonu otwiéra się sala oświécona z góry, podobnie jak pracownia malarza, gdzie prócz wyszukanéj elegancyi wielka oryginalność się przebija. Ogromny pies z Neufunlandyi, który przypomina fantastycznego towarzysza czarnoksiężnika Korneliusa, leży u progu, i nieustannie śledzi oczyma swojego pana, który w czarno-aksamitnym szlafroku, z wielką starannością chodzi około kwiatów, okrywających cały balkon. W samym pokoju na ścianach wiszą strzelby; głowy trupie, portret jakiejś kobiéty ze szkłem sztuczném, listy w ramy oprawne i zasłonione krepą; motyle, muszle, chińskie wazy, malowane szyby, wszystkoto z wybornym smakiem i porządkiem ustawione jest w pokoju. Jest tam jeszcze medal, który uzupełnia te równie poetyczne jak oryginalne ozdoby, albowiem o szlachetnéj i sprawiedliwéj dumie świadczy; przybliżmy się i czytajmy: »Ministeryjum handlu i robót publicznych: dla Alfonsa Karr, który z narażeniem własnego życia, uratował z wody kirasyjera drugiego pułku. Chalons nad Marną d. 25. lipca 1829. Udzielono w r. 1833.«

U Henryka Berthaud panuje porządek i flamancka, aż do drobnostek posunięta czystość. Okna, zaluzije i firanki tak szczelnie są pozamykane, że ani zgiełk, ani gorąco do jego ustroni przecisnąć się nie może. Autor *Siostry Rembranta* lubi otaczać się pamiątkami jego kraju i jego rodziny; piérwsza rzecz, którą nasz wzrok postrzega, są potrety matki jego i siostry; daléj popiersie Fenelona; rysunki z wyobrażeniem domu, w którym się urodził, i znaczniéjsze gmachy jego ojczystego Cambraj. Przepyszne okna pęzla Gavaryniego, ozdabiają ten pokój, tuż wiszą obrazy Anglika Martin, Greuze, Dawida i Teniera, śród różnych skiców i rysunków, robionych akwarellą i sepiją, pod któremi stoją nazwiska: Vernetta, Monniera, Fleury, Granvilla, Garneray i t. d.

Wyszedłszy z *rue St. Georges* zapukajmy na *rue de la Rochefaucauld* pod N. 21. do drzwi na drugiém piętrze. Skoro się minie mały, dość ciemny kurytarz, wchodzimy do małego pokoju, nie łączącego się z resztą pomieszkania. Tu postrzegamy ogromny stół dębowy, bardzo starannie gładzony i politerowany; daléj małą biblioteczkę za szklannémi drzwiami, w wytwornych oprawach, wielki obraz głowy kobiécéj olejno; bardzo białą czaszkę, jakby z kości słoniowéj; dwa lub trzy wygodne krzesła z poręczami, nakoniec portret jednego z sławnych angielskich aktorów. Pośród tych przedmiotów jakiś mężczyzna z ruchomémi i sarkastycznémi rysami zajmuje się pracą. Jużto uczy się roli, jużto pisze lub rysuje, bo trzeba

wiedzieć, że jest i aktorem i malarzem i autorem. Mężczyzna ten jestto Henryk Monnier.

Paweł Kok pisze swoje romanse w najskromniejszém pomieszkaniu. Lecz okna jego pokoju wychodzą na *boulevard St. Martin.* Tam on znajduje mnóstwo oryginałów, które nie wiedząc o tém, ani nie chcąc, muszą mu wzoru użyczać. Kok w najpiękniéjszéj porze roku chodzi do Romainville, do tego lasku tyle lubionego od gryzetek, których wesołą i uderzającą piękność Kok tak pięknie malować umie. Zastanawiającą przytém jest rzeczą, gdy postrzegamy, iż najulubieńszémi dziełami Koka są dzieła Waltera i Jouys.

Ztąd nie daleko, na *rue Montholon*, na końcu posępnego dziedzińca, w zaciszném ustroniu, mieszka młody, blady mężczyzna, obok niego, gdy pracuje, siedzi młoda kobieta rzadkiéj piękności, którąby Rafaelowi za wzór do Madony posłużyć mogła. Jestto Felix Davin.

Alexander Dumas zamieszkiwał dawniéj spaniale pokoje na *Rue bleue.* Skóra tygrysa służyła mu za kobierzec przy łóżku, a okna malowane pęzlem sławnego artysty, rzucały na łoże poety rozkoszne pół przymdlone światło. Teraz mieszka Dumas, zapewne z kaprysu artysty, w szczupłém mieszkaniu na *passage Saulnier*, gdzie ledwie bogate swoje meble pomieścić może, które w trzech małych pokoikach jedne na drugie zwalone stoją.

De la Martine stoi na przemieściu *St. Germain*, gdzie się otoczył zbytkiem, zgadzającym się z jego pełną uroszczeń arystokratyczną prostotą. Jak wiadomo Lamartine więcéj dmie w swoje wątpliwe szlachectwo, niż w swoje znamienite talenta, i dla tego też lubi w życiu domowém zachowywać takie formy i takie zwyczaje, jakie do naszego nie stosują się czasu. I tak np: naznacza *Rendez-vous*, na które rzadko się stawi, i najczęściéj te przymioty u niego ważą, które mogą się poszczycić przychodem 100tysięcy franków.

U Fréderyka Soulie na rogu ulicy *Vivienne*, wszystko oddycha przyzwoitą i uczciwą prostotą.

Scribe otacza się meblami *mignons, disposés mignionnement, dans l'appartement mignon d'un petit hôtel tout-à-fait mignon.....*

Gabinet Jouys napełniony jest szczątkami zbytków z czasów cesarstwa, a George Sand połącza w swojém mieszkaniu tyle przedmiotów bez związku i sprzecznych z sobą, że bez żartu możnaby się zapytać: do jakiej płci należy mieszkaniec tych pokoi urządzonych tak dziwacznie, tak szczególnie? Dodam tu jeszcze, że stół do pisania Jouys jest z mahoniowémi kolumnami, u których kapitele są z miedzi pozłacanéj, że na nim stoi posąg Woltera na przeciw popiersia jenerała Foy, ozdobionego starym pasem od szpady, ze skóry i szmuklerskiéj roboty.

Mieszkanie Alfreda Musset ma wiele podobieństwa z pracownią jakiego ucznia rzeźbiarstwa, lub ze sklepem gipsatora, tyle tam leży posągów i odlewów gipsowych w nieładzie. Do tego dodać należy nieład do opisania trudny: pootwiérane szafy, porozrzucane suknie i bielizna po stołach i stołkach; jestto mieszkanie poety, jakiego przed pietnastą laty przedstawiano w komedyjach. Z resztą ten nieporządek, to niedbanie o zwykłe potrzeby życia, stawiają nam doskonały obraz dowcipnego rozpustnego autora: *Nuit vénitienne*, i wiernego towarzysza Georga Sand.

Grzegorz Dankowski, professor literatury w akademii preszburskiéj zapowiedział następujące dzieło: *Matris slavicae filia erudita vulgo lingua graeca seu grammatica cunctarum slavicarum et graecarum dialectorum in suis primitivis elementis et inde conflatis organicis formis exhibita, gallicae, italicae et latinae linguae ratione habita.* (Matki Sławianki uczona córka, czyli gramatyka wszystkich sławiańskich i greckich dialektów, z odniesieniem uwagi na język francuzki, włoski i łaciński.) P. Dankowski wydaje to dzieło, szczególniéj dla odpowiedzenia, na pytanie w dzisiejszych czasach żywo roztrząsane: »Czy król Otto panuje nad Grekami, czy nad Sławianami?« i w ogłoszeniu zapowiedzi swojego dzieła tak się wyraża; »Treść główna owego pytania na tém się zasadza: Thiersch utrzymuje, iż teraźniejsi Grecy są prawymi potomkami dawnych Greków. Fallmerajer zaś sądzi, iż dawną ludność Grecyi wytępiono ze szczętem, a w 6stym wieku do Grecyi przybyli Sławianie. Sławiańską więc jest teraźniejsza Grecyja, sławiańską w nazwiskach swoich gór, rzek, sławiańską w urodzeniu, obyczajach, zwyczajach i losie. — Uwaga pa. Thiersch jest gruntowną, a Fallmerajera zdanie tak należy sprostować, iż nie dopiéro w 6stym wieku Grecy zostali Sławianami, lecz byli nimi od dawna; gdyż Homer był Sławianinem, bo spiéwał po sławiańsku.« Na dowód tego przytacza pan Dankowski wiersze z Illiady i wykazuje, że są sławiańską mową pisane. Sławianie, którzy jak Illiryjczykowie, Rossyjanie i Serbowie nie używają greckiego pisma, mogą jednak właściwém sobie pismem oznaczyć dźwięk homerowskich tonów.

Przez Joach. Lelewela wyszło świeżo z druku w Paryżu bardzo ważne dzieło o numizmatyce: *Numismatique du moyen âge, considérée sous le rapport du type; accompagnée d'un Atlas, composé de tables chronologiques, de cartes géographiques et de figures de monnaies gravées en cuivre. Ouvrage publié par Joseph Straszewicz;* w dwóch tomach w 8ce, a atlas w 4ce.

Jk. opat Hoffmann, o któregośmy śmierci nie dawno w naszéj Gazecie donieśli, był dla zasług swoich mianowany przez cesarza Józefa I. na kanonika kapituły kościoła metropol. we Lwowie; lecz kapituła podówczas z saméj szlachty się składająca, opiérała się przyjąć go w grono swoje z tego powodu, że był synem mielnika. Nie długo trwało, a cesarz Józef przybył do Lwowa, i był na popisie uczniów szkół normalnych, gdzie Hoffmann sam osobiście ich badał. Cesarz przeświadczony o postępie młodzieży, zadowolony pilnością i usiłowaniem Hoffmanna, kazał mu w nagrodę wyliczyć 1000 dukatów. Gdy tenże cesarzowi za tak piękny podarunek należną podziękę złożyć przyszedł, dziękował oraz za udzielony mu stopień kanonika z dołączeniem prośby, aby ten zaszczyt odebrać raczył, gdyż jemu, jako mieszczaninowi, w gronie szlachty mieścić się nie wolno. Na te słowa Hoffmanna chwycił cesarz z uniesieniem kawałek papieru, i napisał do kapituły w te słowa: *Mando vobis ut Clericum Hoffmann suscipiatis in numerum vestrum, nam virtus et doctrina nobilitant.*)* Łatwo się domyśléć, że przyjęcie prędko nastąpiło.

Ziarna etymologiczno-historyczne. Wynalazek dzwonów przypisują Egipcyjanom, miano ich używać przy uroczystościach bóstwa Osiris. Wielcykapłani izraelscy nosili dzwonki u końców tuniki, a w Atenach kapłani Prozerpiny i Cybeli przy uroczystościach mysteryjów; używali ich także Persowie, Rzymianie i Greccy. Papież Sabinian i Paulus Nola wprowadzili je do ceremonii kościoła chrz., aby chrześcijan na mszą (zwonić) zwoływać, zwać.**) (Zwon—dzwon.) Przed ósmem stoleciem nie było jeszcze wielkich zwonów, wtedy jeszcze używano desek lub miedzianych blach do zwonienia czyli zwołania. W r. 610 hufce Klotara, które Sens w oblężeniu dzierżały, tak się dzwonobiciem

---

*) Rozkazuje wam przyjąć ks. Hoffmana w poczet wasz, albowiem cnoty i nauki są prawdziwém szlachectwem.

**) Zwonić — zwać — źwięk — dźw-jęk — głos — Glok — Gloke — glegot — klekot — klekotać — glukken.

z twierdzy wychodzącem, mocno przestraszyły, że oblężenie rzuciwszy w świat się rozbieżały. Zwony zwanémi, czyli poświęcanémi, imionowanémi, zaczęły być dopiero w 7mém stoleciu. — Powozy wynaleziono we Francyi. Za Franciszka I. było tylko dwa powozy; jeden królowéj, a drugi Dijauny, córki naturalnej króla. W 17tym wieku było już ich używanie powszechniéjsze. Niejaki Sauvage z parafii St. Fiacre w Paryżu, na ulicy St. Martin, robił powozy do najęcia, i ztąd powstała nazwa *fiakrów*. Daleko piérwéj używano powozów w Polszcze, nazwano je: kolébki, kołeski, które się kołésały na kołach, kołesach, po kolejach.

Jedna 80letnia dama wydała nie dawno w Paryżu arcydzieło w swoim rodzaju, pod tytułem: *Listy o toalecie kobiécéj*. Wszystkie nauki, któremi autorka częstuje, są zdrowe i dobre. Czystość duszy, niewinność serca, ochędostwo, ruch, świéże powietrze i wodę, zachwala jako najlepsze środki do zachowania piękności. Podaje wprawdzie sposoby do bronienia wdzięków od wiatru i słoty, od mgły, zimna i upału, od niezwyciężonego macedońskiego falanxu, który pospolicie czasem zowiémy, ale te sposoby nie są przynajmniéj szkodliwe. Rozdział o zmarszczkach jest okropny. Autorka je zowie: »zdradzieckiemi znakami, które nielitościwa czasu ręka na obliczu piękności wyciska, i które zdają się być zesłane na świat dla przestrogi kobiét rozsądnich, dla udręczenia zalotnic i odstraszenia bożków miłości.« Te sprzysięgłe na piękność wrogi, wkradają się z razu bojaźliwie i nieznacznie, jedna po drugiéj, w kąty oczne. Piérwsza zmarszczka nic nie znaczy, na drugą jeszcze się nie zwraca uwagi, ale za trzecią wydaje piękność krzyk bolesny, bo ta szatańska trójka zapowiada nieprzeliczony szereg wszystkich zmarszczek, które kolejno, na czole, pod oczami, koło ust i na szyi, słowem wszędzie grożne stanowiska zajmują. Autorka opowiada jeszcze mnóstwo anegdot prawdziwych, w związku z jéj przedmiotem będących. Wzmiankuje między innémi, że pani Pompadour zwykła przygryzać wargi, gdy się gniewała. Z częstego przygryzania powstało zapalenie, które poszarpało cienką warg tkankę i w końcu usta szkaradnie zbrzydły. Z pięknością ust, straciła pani Pompadour i łaski, w które opływała. Radzimy płci pięknéj czytać dopiéro wspomnione dzieło, ktore jéj nastręczy licznych sposobów do pomnożenia wdzięków duszy i serca, do ochrony zdrowia i zjednania sobie szacunku płci mezkiéj.

Litterary Gazeta opowiada, że astronom Gruithuzen utrzymuje, a nawet dowodzi, iż słońce w małym przeciągu czasu, bo tylko w 1,050,000 latach, kulę ziemską ku sobie pociągnie, i w ogniu swoim na popiół spalil

Paryzkie teatra dały w r. 1835 dzieł nowych 221, które 183 autorów pisało. Nowa opera Majerbeera: »Noc Sgo Bartłomieja, będzie w tych dniach w Paryżu po raz piérwszy przedstawioną.

P. Alfred de Vigny napisał dramat z powieści, pod nazwą: »Laureta,« po którym się aktorowie wielkiego skutku na scenie spodziéwają. Na teatrze *Gymnase* przedstawione będzie najnowsze dzieło pa. Scribe, pod tytułem: »Valentine.« — »Aurelija,« dramat w 4 aktach przez pa. Dumersan, miał jak najlepsze powodzenie na teatrze St. Antoin. Widzowie byli do łez poruszeni. Wynalazek rzeczy, jéj przeprowadzenie, mają być przedziwne, i piętnem rzadkiego talentu autora. Ze wszystkich zaś najbardziej się podoba nowa sztuka: *La mémoire d'un pere*.

W pewnéj belgijskiéj wiosce postawiła domu gospodyni pełne zarzących się węgli naczynie w wilgotnéj izdebce. Wieczorem, domagało się najstarsze z siedmiorga jéj dzieci, chłopiec 15 lat mający, o pozwolenie postawienia tegoż naczynia z węglami w izdebce górnej, gdzie z pięciorgiem swego rodzeństwa zwykle zawsze sypiał. Pomimo zakaz matki, przywiódł do skutku, czego się napiérał. Nazajutrz, gdy już dobrze na dzień było, a dzieci na dół nie zeszły, poszedł ojciec zobaczyć, co się dzieje, i zastał w okropną boleść swoje wszystkie sześcioro trupem, a obok nich, psa nieżywego.

Napoleon i Talma. Wiadomo, że Napoleon zaszczycał Talmę swojémi względami, i że temuż często u cesarza podczas śniadania bywać wolno było. Jakoż jednego razu wszedł Talma, a cesarz rzekł do niego: »Dobrze, że wćpan przychodzisz; pokażę mu, com dla ulepszenia teatru tuleryjskiego uczynić rozkazał;« to mówiąc skinął ręką, ażeby z nim Talma poszedł. Prowadził go przez długi korytarz, nakoniec weszli na scenę, gdzie mieli sztuczną maszyneryję oglądać. W całym budynku, od jednéj tylko lampy słabo oświéconym, nie było nikogo, prócz ich dwóch. Po przeglądzie rozmaitych przyrządzeń, weszli pod sceny podłogę, gdzie były machiny do zapadnień i zmian różnych; tu Napoleon uderzywszy Talmę po ramieniu rzekł: »Ileżby nie jeden z moich nieprzyjacioł dał za to, gdyby się na twojém panie Talmo znajdował miejscu? jakże ono jest doskonale przysposobione do odegrania krwawej trajedyi!« — »Przez Boga, miłościwy panie,« zawołał Talma z przestrachem, »nie bawmy tu dłużej! A gdyby jaki zdrajca...« — »Uspokój się wćpan,« przerwał Napoleon z uśmiechem; »historyja za wiele sama siebie poważa, aby zguby mojéj nie na teatrze czynów, ale pod teatrem udania szukać miała.«

W Tuluzie niejaki pan Amadée de Beaufort napisał dramat, pod tytułem: *Gaston de Foix*. Sztuka była przedstawioną, a pan Baudeant napisał na nią parodyję, która w sobie kilka uszczypliwych miejsc zawierała. Hrabia d'Aguilard, młody i bardzo bogaty przyjaciel pana Beaufort, napisał recensyję na tę parodyją i kazał ją drukować. Baudeant miał się za obrażonego, i wyzwał hrabiego na pistolety. Pojedynek się odbył, hrabia w samę czoło kulą ugodzony, padł trupem. O! kiedyż rozum człowieczy wyczyści się z mętów urojenia i szału!

Pan Serbart w *Valenciennes* wynalazca niezawodnego sposobu oddzielenia melassy przy fabrykacyi i raffineryi cukru, odstąpił swego przywileju towarzystwu fabrykantów za kwotę 600,000 fr. Nabywcy tajemnicy mają nadzieję wynagrodzić to sobie wkrótce korzyścią z procedury.

Pewien młody człowiek w Paryżu chciał swego psa utopić w Sekwanie. Wsiadł z nim w lekkie czółno, popłynął na sam środek rzéki, tu rzucił psa w prąd wody, i chciał go koniecznie przemocą wiosłem zanurzyć; pies bronił życia swego instynktem natury, ile mu siły starczyło; w téj walce przechybnęło się czółno, a jego srogi pan wleciał w wodę, a nie umiejąc pływać, byłby niezawodnie utonął, gdyby go wierny pies za kołniérz sukni nie był uchwycił, i tak długo na powierzchni wody nie utrzymywał, aż mu pomoc od brzegu przyspieszyć zdołała.

W pewnem towarzystwie mówiono o jednym młodym człowieku, będącym nieustannie w kłopocie pieniężnym, że miał bardzo piękną i foremną rękę. »Czy wćpan widziałeś kiedy rękę jego?« zapytał opowiadający jednego z siedzących obok siebie. »Jakże nie,« odpowiedział tenże, »dopiéro dnia wczorajszego pisał do mnie, abym mu kilka dukatów pożyczył.«

Przestroga dla matek. W Chichester udusiło się dziécię w kolebce przez nieostrożność matki, która chcąc je prędzéj uspić, okryła mu twarz jedwabną chustką; dziécię wciągnęło oddechem chustkę w usta, ssało ją, i tym sposobem zatkawszy sobie organy oddechu, udusiło się!

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.